

Fabryka świata na wulkanie



Adam Leszczyński, Shenzhen, Hongkong, Chiny 2010-11-15, ostatnia aktualizacja 2010-11-12 18:47:01

Chińska "fabryka świata" przypomina dziś wrzący wulkan. Na tle robotniczych strajków i protestów toczy się skomplikowana gra pomiędzy rządem, zachodnim biznesem i organizacjami walczącymi o prawa robotnicze

- Nie da się tego malować maszynowo. Trzeba ręcznie - słyszę.

Przy maszynie w ogromnej hali siedzi dwudziestoletnia dziewczyna. Obok w plastikowej skrzynce leży kilkaset małych czapek ludzików Lego.

Co dwadzieścia sekund z maszyny wysuwa się jedna brązowa czapeczka. Robotnica pewnym ruchem maluje na niej zieloną otoczkę, a po bokach - dwa granatowe nauszники. Te dwa małe nauszники to duży techniczny problem - wystarczą dwa dotknięcia pędzelkiem po bokach czapki, żeby je pomalować, ale maszyna nie umie tego zrobić. (Sprawdziłem - to była czapka komandosów rebeliantów z bitwy na planecie Endor, z serii Lego "Gwiezdne wojny". Takie figurki występują tylko w zestawie Lego nr 8083. W pudełku są dwie sztuki).

Robotnica maluje czapeczki 11 godzin dziennie, sześć dni w tygodniu.

- Większość naszych klocków malują maszyny. Rozmawiamy z amerykańską firmą, która twierdzi, że wynalazła maszynę pozwalającą malować także i takie, jak te czapeczki, ale to urządzenie będzie na rynku najwcześniej za dwa-trzy lata - mówi mój przewodnik. Jest zażywnym, czterdziestoletnim Skandynawem z jasną brodą, o głowę większym od chińskich robotników, nazywa się Stefan Garsdal i jest szefem Lego na całą Azję.

Fabryka PY (skrót od nazwy dystryktu - Pen Yu) należy do Jetta Group, chińskiej firmy założonej pod koniec lat 70. w Hongkongu, która w kilku fabrykach w Chinach kontynentalnych zatrudnia kilkadziesiąt tysięcy osób. W PY w gigantycznych, wielopiętrowych halach fabrycznych połączonych nadziemnym systemem korytarzy 9 tys. robotników produkuje zabawki dla wielu wielkich zachodnich firm: nie tylko Lego, ale także Mattel i Disneya. W sezonie - przed Gwiazdką - fabryka przyjmuje dodatkowo 3 tys. robotników. Na miejscu robi się wszystko: plastikowe i gumowe części, elektronikę, pudełka.

Fabryka przypomina skrzyżowanie koszar z więzieniem. Garsdal oprowadza gościa z wyraźną dumą: wysprzątane korytarze, prymitywne (ale czyste) toalety, biblioteka, boisko do koszykówki i dormitoria. W jednym pokoju na 20 metrach kwadratowych mieszka osiem osób. W Polsce nawet dokładnie taka sama powierzchnia - nieco mniej niż trzy metry kwadratowe - przypada na jednego więźnia. Robotnicy mogą jednak oczywiście wyjść na miasto, chociaż muszą się pilnować: dormitoria zamykają o północy.

Nie mam wątpliwości, że to najbardziej komfortowe warunki, jakie można znaleźć w chińskiej fabryce zabawek. Inaczej nie mógłbym jej zobaczyć.

Zabawki to reprezentatywna część nastawionego na eksport chińskiego przemysłu - 90 proc. zabawek na świecie robi się właśnie w Chinach. W samej prowincji Shenzhen jest ok. 10 tys. fabryk zabawek - ile dokładnie, nikt nie wie. Są pilnie strzeżone. Jeżeli zagraniczny dziennikarz zostanie do któregoś wpuszczony, nie tylko może mieć pewność, że wszystko będzie ładnie, ale też, że zobaczy warunki, które właściciele uważają za luksusowe.

Mimo to nie wolno mi było rozmawiać z robotnikami ("przeszkadzałoby to im w pracy") ani robić zdjęć ("mamy tu nowe zabawki, które pokażemy dopiero w przyszłym sezonie"). Kiedy idę do toalety, jeden z chińskich opiekunów stoi za drzwiami.

Vincent Tom, członek zarządu Jetta: - Minimalna pensja w naszym mieście to 960 juanów (130 dol.). My płacimy tysiąc za 40-godzinny tydzień pracy. Nadgodziny są zawsze dobrowolne.

Stefan Garsdal: - Robotnicy wybierają swoich przedstawicieli. Pierwsze, o co proszą, to więcej nadgodzin.

Wyżysk nielegalny, ale powszechny

- Jestem zaskoczona, bo nie powiedzieli wam: "Robotnicy proszą o to, żeby mniej im płacić" - kpi Emily Lau, demokratycznie wybrana deputowana do parlamentu w Hongkongu i działaczka na rzecz praw człowieka w kontynentalnych Chinach. - Kiedy do fabryki przychodzi zagraniczna delegacja, szefowie zawsze chcą się pokazać od jak najlepszej strony. Wyselekcjonowani robotnicy ćwiczą odpowiedzi na pytania, które mogą zadać goście.

Okazuje się, że prawa pracy można łatwo obejść - i właściciele fabryk notorycznie je obchodzą.

Lau: - Na papierze nasze prawo jest bardzo piękne.

Słyszałem o dziesiątkach sposobów, na które te zasady można obejść. W wielu fabrykach system wynagrodzeń jest tak pomyślany, żeby zmusić ludzi do spędzania przy maszynach nawet 16 godzin dziennie. Za zwykły tydzień pracy robotnicy dostają tylko płacę minimalną, za którą trudno przeżyć, nie mówiąc o wystaniu kilkuset juanów na życie rodzinie na wsi - a po to przecież przyjeżdżają do fabryki! Dlatego nadgodziny są nimi tylko formalnie, w rzeczywistości wszyscy pracują po kilkanaście godzin dziennie.

Jeszcze inna metoda to oszustwa na obliczaniu nadgodzin - rachunki nie są prowadzone elektronicznie, tylko na papierze przez brygadzystę i robotnik nie ma dowodu, ile czasu przepracował. Robotnicy często nie dostają żadnych umów o pracę, a więc firma w każdej chwili może się ich pozbyć, nie wypłacając im pensji.

Działa tylko jeden, państwowy związek zawodowy, który nie zapewnia robotnikom ochrony - jest narzędziem w rękach rządzącej partii i właścicieli.

Ludzie, oczywiście, próbują przechytryć system wyzysku. Wszyscy robotnicy mają telefony komórkowe. Bez wahania przenoszą się do fabryki, w której są lepsze warunki. Firmy zatrzymują więc - znów wbrew prawu - jedną albo dwie miesięczne pensje jako "depozyt". Kiedy robotnik rzuca pracę bez miesięcznego wypowiedzenia, pieniądze przepadają.

- Chińscy robotnicy są bardzo nieulojalni wobec firmy - ubolewa Vincent Tom z Jetta Group.

Organizacje pozarządowe mówią, że prawo pracy jest łamane wszędzie, nikt nie zna jednak skali nadużyć. W ciągu 30 lat w Shenzhen powstało gigantyczne centrum przemysłowe zatrudniające 30 mln ludzi w dziesiątkach tysięcy fabryk. Dziś nikt, włącznie z chińskim rządem, nie jest w stanie ich ogarnąć. Można jechać godzinami autostradą prowadzącą od granicy z Hongkongiem (należącym do Chin, ale wydzielonym jako specjalny obszar administracyjny) na północ i nigdy nie wyjechać z wielkiego miasta.

Właściciele pilnują, żeby poza ich mury docierały tylko okruchy tego, co się dzieje w środku.

Fabryka świata na skraju wybuchu

Działająca w Hongkongu organizacja China Labour Watch wysłała swoich agentów do fabryk - zatrudniają się tam jako robotnicy. Spotykam się z dwoma, którzy pracowali w fabrykach zabawek. Proszą, żeby nie podawać ich imion i nie fotografować. Hongkong jest bezpieczny, ale ich zdekonspirowani koledzy bywali w Chinach bici i aresztowani.

- Zatrudniamy się na pięć-dziesięć dni, rozmawiamy z robotnikami, potem przygotowujemy raport - mówią.

Raporty czyta się jak horror. W fabrykach są np. obowiązkowe kantyny, w których robotnicy nie jadają, bo to, co przygotowują, jest niejadalne, ale za kantynę potrąca im się 300 juanów z pensji. Są też obowiązkowe dormitoria, nawet jeśli ktoś chce mieszkać poza fabryką (60-100 juanów). Powszechny jest brak ubezpieczeń. Nie ma szkoleń do pracy przy maszynach ani ubrań ochronnych. Z maszyn demontuje się czujniki bezpieczeństwa, żeby nie "przeszkadzały" w pracy - stąd zmiażdżone kończyny i wypadki śmiertelne. Według danych przygotowanych przez inną działającą w Hongkongu organizację, SACOM, na podstawie rządowych statystyk ("Prawie na pewno zaniżonych" - słyszę w SACOM) tylko w 2009 r. w chińskich fabrykach było 950 tys. wypadków przy pracy. 400 tys. ludzi zostało okaleczonych, a prawie 17 tys. zginęło. Statystyka jak na wojnie. Nie wiadomo, ile z tego przypada na produkcję zabawek.

- Robotnicy się nie skarżą, o ile właściciel nie próbuje ich oszukać na płacy i nadgodzinach - słyszę od agentów China Labour Watch. - Chcą zarobić jak najwięcej.

- To prawda, ale i tak liczba konfliktów w miejscu pracy wzrosła o jedną trzecią w latach 2008-09 - mówi dr Chris King Chi Chan, socjolog z Uniwersytetu Miejskiego w Hongkongu, autor książki o chińskich robotnikach. - Rządowi zależy przede wszystkim na stabilizacji i, jak to nazywa, "społecznej harmonii", boi się buntu i dlatego robi gesty wobec robotników.

Moralny wybór w sklepie

Chińska "fabryka świata" przypomina dziś wulkan. Robotnicze protesty to element złożonej politycznej i gospodarczej rozgrywki, w której stawką jest przyszłość Chin. Aktorów w tej grze jest kilku.

Pierwszym jest rząd z Pekinu, który chce utrzymać władzę i jak ognia boi się społecznego wybuchu. Protestów robotniczych są tysiące. „Harmonia społeczna”, o której lubi powtarzać, jest fikcją.

Dr King Chi Chan: - W ciągu pięciu lat płaca minimalna, która jest podstawą zarobków w wielu fabrykach, wzrosła dwukrotnie. Od dwóch lat prawo pozwala na prowadzenie sporów zbiorowych z pracodawcą. Równocześnie rząd wzmógł kontrolę nad organizacjami pozarządowymi, a państwowy związek zawodowy pomagał w rozbijaniu strajków.

Drugi aktor jest zbiorowy - to miliony robotników, którzy chcą lepszego życia i rzeczywiście zarabiają coraz lepiej, bo też ich praca staje się coraz trudniej dostępnym towarem. W Chinach kończy się wyż demograficzny, od 2015 r. liczba młodych ludzi będzie szybko maleć. Już teraz w Shenzhen brakuje 2 mln robotników. Pracodawcy zgrzytają zębami i podnoszą pensje - ale często też myślą o przeprowadzce - albo w głąb Chin, gdzie na razie płace są niższe, albo do Wietnamu czy Indonezji.

- Robotnicy protestują przeciw złym warunkom pracy, ale strajki wybuchają też wtedy, kiedy właściciel chce zwinąć fabrykę. Robotnicy nie pozwalają zabrać maszyn - mówi dr Chan.

Trzecim aktorem jest zachodni biznes, który wciąż jeszcze buduje w Chinach fabryki. Z jego punktu widzenia dyktatura ma zalety. Kiedy niedawno rząd chiński zmienił prawo pracy na korzyść robotników, najgłośniejsz protestowała Amerykańska Izba Handlowa w Pekinie.

Biznesmeni mówią, że nie mają wyjścia.

- Konsumenci są najbardziej frustrującą częścią naszej układanki. Patrzą tylko na cenę zabawek. Pytają o ich bezpieczeństwo, ale warunki pracy w fabrykach kompletnie ich nie obchodzą - mówi przedstawiciel zachodniego biznesu zabawkarskiego z Hongkongu, który jednak woli pozostać anonimowy.

- Chciałbym, żeby ludzie na Zachodzie mieli świadomość, że krew i pot są w tych zabawkach, które kupują - mówi jeden z agentów China Labour Watch.

Według badań przeprowadzonej na zlecenie Polskiej Zielonej Sieci we wrześniu 2010 r. aż 40 proc. Polaków byłoby skłonnych zapłacić o kilka procent więcej za zabawkę wyprodukowaną w humanitarnych warunkach i z poszanowaniem

środowiska naturalnego. Nie wiadomo jednak, czy Polacy pamiętali by o tym, sięgając do portfela w sklepie.

Ostatnim, czwartym aktorem są organizacje pozarządowe - chińskie i zachodnie - które próbują bronić praw człowieka (i prawa pracy). Pod ich naciskiem wiele zachodnich firm wprowadziło „kodeksy postępowania”, które określają, w jakich warunkach mogą pracować robotnicy w chińskich fabrykach. W fabrykach, które nie pracują dla wielkich zachodnich firm, żadnych kodeksów nie ma. Tam gdzie są, robotnicy często nie mają szkolenia bhp, ale za to uczy się ich długo, jak powinni odpowiadać na pytania audytorów - żeby ich oszukać.

Nikt nie wie, czy i kiedy "fabryka świata" wybuchnie. Socjologowie nie są w stanie przewidywać takich protestów, mogą jedynie powiedzieć, że sytuacja do nich dojrzała.

- Pokój społeczny staje się coraz bardziej kruchy, a rząd nie ma na frustrację skutecznej recepty - mówi dr Chan.

Tekst pochodzi z serwisu Wyborcza.pl - <http://wyborcza.pl/0/0.html> © Agora SA